Ze Śląska w świat literatury i nauki. Prof. Florian Śmieja (1925-2019) o sobie.



Profesor Florian Śmieja podczas uroczystości wręczenia doktoratu honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego w 2015 r.

Kiedy w 1945 roku skończyła się w Europie wojna, władze narzucone Polsce zażądały natychmiastowego rozwiązania Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie. Byłem wtedy w Szkocji. Brytyjczycy zarządzili apel wszystkich polskich żołnierzy i na nim, ich oficerowie wręczali nam, każdemu z osobna, ulotkę z wezwaniem do powrotu do Polski podpisanym przez angielskiego ministra spraw zagranicznych, Ernesta Bevina. Część kombatantów wróciła, większość rozjechała się po całym świecie. Ci, którzy pozostali w Wielkiej Brytanii, zostali wcieleni do Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia pod rozkazami Jego Królewskiej Mości Króla Jerzego VI. Ponieważ toczyła się jeszcze wojna z Japonią, straszono, że istniała możliwość wylądowania w

innej scenerii konfliktu.

W rzeczywistości jednak, kto miał przydatny fach, szukał lokalnego zatrudnienia. Mój kolega znalazł pracę jako piekarz na szkockich wyspach Orkadach. Ja próbowałem naprawy zegarków, ale w końcu zapisałem się na kurs dla rybaków dalekomorskich, licząc na możliwość dobrych zarobków umożliwiających później studiowanie. Byłem już parę dni w porcie w Aberdeen, gdy dostałem wiadomość, że przyznano mi stypendium na studia humanistyczne w Irlandii. Pukając bowiem do wszystkich drzwi, zajrzałem w Londynie do polskiej katolickiej organizacji Veritas, która zabiegała o pozyskanie w Irlandii miejsc na uniwersytetach na studia przez Anglików nie przewidziane. Wprawdzie lista kandydatów już była zamknięta, ale urzędnik kwalifikujący, ujrzawszy na moim świadectwie maturalnym stopień bardzo dobry z łaciny, obiecał miejsce pod warunkiem, że będę studiował łacinę.

Słowa dotrzymałem, do łaciny dołożyłem grekę. Po służbie w wojsku, studiowanie w miłym mieście było wymarzoną wygraną losu. Na uniwersytecie w południowej Irlandii zdumiało mnie, że pięć katedr humanistyki obsadziły kobiety. Moja profesor od literatury angielskiej, Brigid McCarthy, była znakomitą autorką dwu tomów *The Female Pen* – historii brytyjskich pisarek, wybitnej wczesnej pracy o ich dorobku; była koryfeuszem ich walki o równouprawnienie. Prawdziwym jednak dla mnie

odkryciem był oferowany na uczelni w Cork język hiszpański, w owych czasach nieznany mi zupełnie i egzotyczny. Z czasem on i jego kraj stać się miały zastępczą ojczyzną i wielkim ukochaniem. Jego piękno i łatwa dla Słowianina wymowa oraz dobry fundament łaciny ułatwiły szybki postęp. Konwersacje z hiszpańskimi rybakami przebywającymi przypadkowo w Irlandii zastąpiły z czasem coraz częstsze odwiedziny Półwyspu Iberyjskiego. Nad wyraz kulturalny i szarmancki profesor Irlandczyk, dr J.G. Healy, okazał się nauczycielem bardzo pomocnym i inspirującym.

Po uzyskaniu licencjatu niespodziewanie zostałem asystentem dra Jerzego Pietrkiewicza w Londynie. Aczkolwiek znalazłem się w aurze języka polskiego, mój szef radził mi pielęgnować język hiszpański, więc zapisałem się na dalsze studia hispanistyczne w King's College w Londynie.

Tu wtrącę ciekawostkę. Ucząc polskiej konwersacji u Pietrkiewicza, udzieliłem też kilku lekcji języka polskiego przez hiszpański kuzynowi późniejszego króla Hiszpanii, księciu Adamowi Czartoryskiemu z Sewilli, który z matką i ojczymem pojawił się na krótko w Londynie.

W stolicy Anglii zrobiłem więc magisterium, a potem doktorat.

Seniorem hispanistyki był tam w tym czasie profesor Edward

Wilson, wsławiony znakomitym przekładem arcykunsztownego poematu Luisa de Góngora *Soledades*. Jego wiedza o siedemnastowiecznej literaturze i folklorze oraz znajomość wybitnych Hiszpanów były niekwestionowanymi atutami, z których i ja skorzystałem, kiedy przyznawszy mi drobną kwotę, wyprawił do Madrytu z osobistą rekomendacją adresowaną do grona zbierających się regularnie na popołudniową *tertulię* profesorów i uczonych. W ten sposób poznałem byłego dyrektora Biblioteki Narodowej Antonia Rodrígueza-Moñino i potrafiłem korzystać z niezwyczajnej erudycji, a nawet rzadkich książek wybitnych bibliotekarzy. Wilson poznał już w 1929 roku renomowaną *Residencia de Estudiantes* i w trudnych czasach dyktatury sprowadzał na gościnne wykłady do Londynu wybitnych twórców i pedagogów. On także dał impet do rewizji studiów calderonowskich, przyczyniając się do powstania respektowanej „szkoły brytyjskich calderonistów", którzy wsławili się znakomitymi interpretacjami teatru Calderona, jak też wydaniami krytycznymi jego tekstów. Miałem też jeszcze przyjemność poznać go jako szlachetnego amfitriona, kiedy egzaminując w jego okolicy maturzystów, przez kilka wieczorów zajeżdżałem do Kolegium Emanuela w Cambridge, gdzie mnie podejmował jego gospodarz dobywający spoza wiadomych sobie foliałów butelki znakomitego wina.

Kiedy Wilson odszedł do Cambridge, w King's College w Londynie pojawił się Aleksander Parker, urodzony w Urugwaju,

syn konsula, wykształcony w Anglii przez dominikanów, a później w Cambridge. To on wespół z Wilsonem kontynuował studia nad Calderonem i pochylił się nad jego teatrem religijnym, stwarzając o nim kanoniczne teksty. Przejął on pieczę nad moim doktoratem i został moim mistrzem, nie szczędząc czasu i cierpliwości, a potem opieki, polecając mnie na wykładowcę wpierw do London School of Economics, a następnie na Uniwersytet w Nottingham.

Kiedy osiedliłem się w Kanadzie, Parker też zawitał za Atlantyk, najpierw na Jamajkę, a w dalszej kolejności na katedrę w Teksasie. Jako zawołany ogrodnik doświadczył wielkiej satysfakcji, patrząc na bujność i bogactwo przyrody amerykańskiej po klimatycznych ograniczeniach Wysp Brytyjskich.

Ale wśród brytyjskich naukowców i tekstów zdarzyły się też polonika. Miałem szczęście wcześnie natrafić na wydany bodaj we Wrocławiu tekst profesora Stanisława Skiminy o wykładach z poetyki, demonstrujących rewelacyjną teorię konceptu jezuity Macieja Sarbiewskiego, z którą zaznajomiłem natychmiast Parkera, a następnie mojego egzaminatora z Oksfordu, profesora Roberta Pring-Milla.

W 1952 roku z Krakowa przyjechała profesor Stefania Ciesielska-Borkowska i razem pojechaliśmy na pierwszy Światowy Kongres

Hispanistów do monumentalnego oksfordzkiego Kolegium Corpus Christi, gdzie zebrali się najwybitniejsi hispaniści z całego świata z nieomal stuletnim, legendarnym Ramónem Menendézem Pidalem, Dámasem Alonso i Francuzem Marcelem Bataillonem na czele. Zapamiętałem, może przewrotnie, incydent nocnego powrotu niektórych tych luminarzy gramolących się niezdarnie przez okna, jak sztubacy, gdyż bramy kolegium zostały przepisowo zamknięte, a wiekowym intruzom groziła niepyszna defenestracja.

W bibliotece British Museum spotkałem profesora Władysława Folkierskiego i pokazałem mu mój bodaj pierwszy artykuł naukowy tyczący literackich związków polsko-hiszpańskich. Udało mi się obalić tezę profesora Edwarda Porębowicza, który przypisał niezidentyfikowane wiersze szesnastowiecznego poety Sebastiana Grabowieckiego wczesnej literaturze hiszpańskiej. Zamknąłem się na trzy tygodnie w bibliotece British Museum i wertowałem szesnastowieczne teksty hiszpańskie. Po ich zbadaniu sięgnąłem do literatury włoskiej i rozpoznałem wszystkie poszukiwane teksty u Bernarda Tassa (1493-1569). Konkludowałem pochopnie, że udowodniłem, iż Grabowiecki nie znał literatury hiszpańskiej. Kiedy profesor Folkierski zauważył z łagodnym uśmiechem, że tego nie udowodniłem, akceptował moje poprawione stwierdzenie, że jeżeli takową znał, to znajomość ta nie zostawiła żadnych śladów w jego twórczości.

(…)

Mówiąc o drodze naukowej muszę także pamiętać o dzielnych poprzednikach i towarzyszach mojej wędrówki. W pierwszym rzędzie moje laury należałyby się dziadkowi, czyli jak mawiamy na Opolszczyźnie, starzykowi, Urbanowi Kuligowi, który nawet w najgorszych czasach szalejącego w latach trzydziestych narodowego szowinizmu prenumerował polską prasę i nie tracił wiary w powrót sprawiedliwej macierzy. Następnie myślę o jego córce, a mojej matce, Rozalii, żyjącej w latach niesprzyjających edukacji kobiet, a lokującej w swoim najstarszym synu nadzieję duchowego wzrostu. To ona przekonała ojca, że warto przenieść mnie ze szkoły powszechnej w Kończycach do „ćwiczeniówki" w Tarnowskich Górach po to, aby umożliwić mi dalszą naukę w gimnazjum, o czym marzyłem.

Wreszcie muszę podziękować mojej dzielnej żonie Zofii, obarczonej czworgiem dzieci, która niemniej przeto pozwoliła mi latać kilkanaście razy do polskich studentów i to na znaczne okresy czasu.

Przed wojną, kiedy jeździłem regularnie na ferie na Opolszczyznę, poznałem dostojną gwarę i mówiących nią zacnych ludzi spod znaku Rodła. Ta wspaniała, a topniejąca z czasem garstka w latach ciężkiej próby zdobyła się na niewiarygodny wyczyn: na uchwalenie w Berlinie w 1938 roku

pięciu prawd zaleconych dla swoich członków, z których najpiękniejsza, „Polak Polakowi bratem”, dziś jeszcze nie straciła swojej ważności i sądzę, że zasługuje na adopcję przez cały naród jako cenne wiano bohaterskiej sztafety pokoleń.

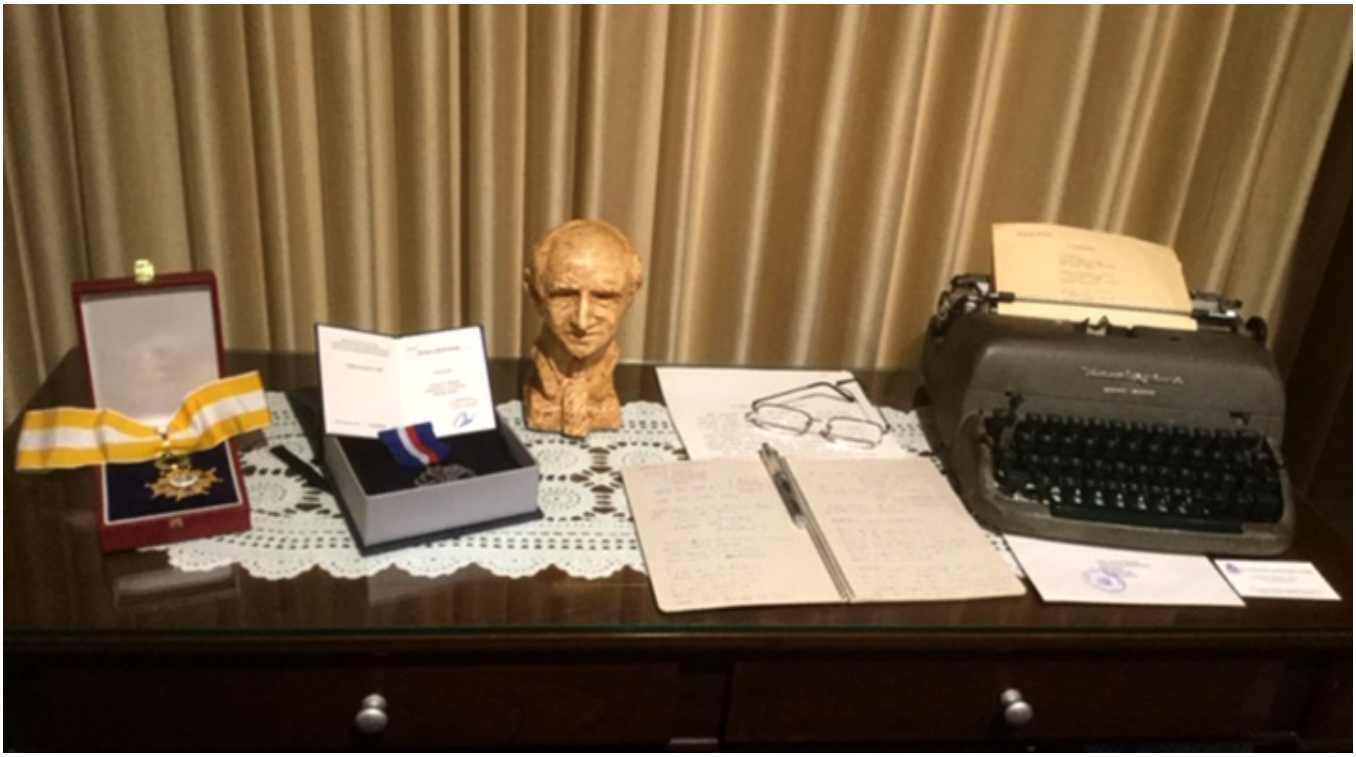
Fragment przemówienia wygłoszonego przez prof. Floriana Śmieję podczas uroczystości nadania tytułu doctor honoris causa Uniwersytetu Wrocławskiego w 2015 r.

Profesor wysłał mi ten tekst dwa lata temu, z sugestią, żeby ukazał się, gdy już go nie będzie.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Zobacz też:

https://www.cultureave.com/wywiad-z-prof-florianem-smieja/



Uroczystość pożegnalna prof, Floriana Śmieji, 6 września 2019 r., Mississauga (Kanada), fotografia przekazana przez rodzinę.

Opowieści ze starej chałupy



Dom w Osieku, ok. 1979 r.

Zdzisław Antolski

Książka Sylwii Kokot-Martin pt. „Potrawka z surojadki” to świetnie napisana opowieść z życia polskiej rodziny w latach 70. i 80. Zawiera prawdziwy obraz ówczesnej polskiej rzeczywistości, z jej biedą, powszechnym oglądaniem telewizji, gdzie przebojami dziecięcymi były wieczorynki, wakacyjne „Teleferie” i serial „Czterej pancerni i pies”. Nie ulega wątpliwości, że opowieść ma charakter biograficzny, a jej narratorka i główna bohaterka Flawia to pseudonim autorki. Bohaterka czyta powieść Astrid Lindgren „Dzieci z Bullerbyn” i

trudno nie oprzeć się wrażeniu, że jej książka nosi pewne cechy powieści noblistki. Jednakże „Potrawka z surojadki” nie przedstawia baśniowej legendy, jest aż do bólu realistyczna i nie unika spraw przykrych i drażliwych, jakie występują w każdej rodzinie.

Opisując fotografię swojej rodziny, Flawia pisze:

> Na jednej fotografii, lekko niedoświetlonej, nasza rodzina. Stoimy zwróceni twarzami do obiektywu, w spodniach „dzwonach”, szerszych niż zwykle, bo rozpłaszczonych wiejącym na nas południowym wiatrem. W grubych czapkach, zimowych kurtkach i płaszczach, z baziami w rękach, na bulwarze nad rzeką, w centrum miasta. Ojciec w bokobrodach dzwoniastych jak spodnie, matka z lisem wokół szyi. Szymon z dołeczkiem w brodzie, Ala z grzywką, a Berenika z głową przechyloną lekko na bok. Ja na zdjęciu stałam na boczność. Z jasnymi kitkami, wystającymi po bokach spod czapki, rozwianymi na wietrze razem z długimi końcówkami kołnierza przy kurtce z królika.

Metaforyczny, a zarazem żartobliwy tytuł „Potrawka z surojadki” wyjaśnia rodzinna dyskusja, kiedy to ojciec, dyskutując z najmłodszą córką, Bereniką, stwierdza:

No to bycie dorosłym to jak wyprawa na grzyby. Chciałabyś znaleźć tylko jadalne i to te najlepsze.

– Czarne łebki?

– Tak, czarne łebki… i borowiki… i maślaki…

– A im dalej w las, tym coraz więcej surojadek i muchomorów – palnął wujek Czesio.

– Świnto prawdo! – przytaknął dziadek.

Uparty zamek puścił. Mała stała obuta.

– No właśnie… Alu, teraz ty. Siadaj tu, kochana. Podaj nogę…

– I co w tym lesie? – Berenika popędza ojca.

– I idziesz, patrzysz, że rosną nie te grzyby, jakie sobie wyobrażałaś tam znaleźć. I teraz, z tego co jest, musisz wybrać taki grzyb, żeby się po nim nie rozchorować albo nie otruć.

– Który byś wybrała? Surojadkę, olszówkę, czy muchomora?

> – wujek Czesio znów się zaśmiał, ale Berenika odpowiedziała mu całkiem poważnie:
>
> – Surojadkę.
>
> – Brawo! Posypały się oklaski.
>
> – Jużech godo jak dorosła! – zauważył dziadek i Berenika zaczęła wręcz pęcznieć z dumy.
>
> – I co zrobimy z tej surojadki, tatusiu?
>
> – Czy ja wiem… jakąś potrawkę… (…)

I tak powstała świetna „potrawka”, czyli powieść Sylwii Kokot-Martin.

Rodzina mieszkająca w bloku, w mieszkaniu M-5, nie należała do przeciętnych, głównie za sprawą ojca, artysty fotografika, człowieka o nieprzeciętnej wyobraźni i energii, trochę ekscentryka, oryginała i dziwaka, a przy tym zapalonego grzybiarza. Jest przy tym bardzo przyjacielsko nastawiony do otoczenia, ma cechy tzw. „duszy towarzystwa” i wzbudza w otoczeniu sympatię do swojej osoby. Całe jego życie i działalność były jedną improwizacją i przygodą. Tylko żona, osoba

systematyczna, zdrowo myśląca, usiłowała jakoś okiełznać wybujałą aktywność męża. W dodatku żona jest głęboko i autentycznie wierząca, przez co dzieci, wchodząc do domu, mówią „Niech będzie pochwalony”. Rodzina mieszka w Toruniu, jak dowiedziałem się z rozmowy z Autorką, choć nazwa miasta nie pada w powieści.

Podczas wyprawy na grzyby, powieściowy ojciec, Rafał Koguczak, odkrył w lesie glinianą chatę, którą się zachwycił i nabył ją wraz z dziesięcioma arami ziemi. Musiał wcześniej ukończyć specjalny kurs rolniczy, zgodnie z ówczesnymi przepisami, aby stać się właścicielem chaty i kawałka ziemi. Najtrudniej chyba było przekonać Koguczakowi do tej inwestycji własną żonę, ale ona, mimo twardego charakteru, ulegała jego fantazjom, zwłaszcza że nowy właściciel gospodarstwa zamierzał osiągać z niego dochody, np. hodując jedwabniki. Ta letnia siedziba z „daczy” przeistoczyła się w „skansen”. Rafał Koguczak zbierał bowiem w okolicy przeróżne zabytkowe przedmioty: podarowane lub znalezione narzędzia rolnicze, wykopane na swoim podwórku zamierzchłe naczynia gliniane itp. Wkrótce urzędowo, oficjalnie przybrało, zgodnie z duchem czasu, nazwę „Izby Regionalnej” inne domostwo we wsi, z którego pan Rafał utworzył muzeum. Część przedmiotów przywiózł do niego po prostu z miejskiego bloku w tajemnicy przed żoną i przedstawił jako zabytkowe eksponaty. Na uroczyste otwarcie zaprosił lokalne władze i mnóstwo znajomych. Impreza udała się

znakomicie, przybyło na nią wielu dostojników i znajomych artystów z miasta, a także miejscowi oficjele.

Gliniana chata nie tylko miała umożliwiać dostęp do kultury lokalnej. Miała także być źródłem zarobku poprzez hodowlę jedwabników, co było kolejnym pomysłem pana Rafała. Niestety, nikt się nie spodziewał, że mimo dużej pracy włożonej w hodowlę, skończy się ona całkowitą klapą.

Większa część książki poświęcona jest dziecięcym przygodom właśnie w wiejskiej chacie, gdzie nie ma prądu ani kanalizacji, a drewniany wychodek jest dla dzieci koszmarem z powodu brudu, much i pająków. Wolą więc załatwiać swoje potrzeby w lesie, co spotyka się z krytyką ich ojca, który niechcący wdepnął w dziecięcą „minę".

Dzieciństwo Autorki przedstawia epokę zabaw w kapsle, które udawały kolarzy, a poruszane były po wyznaczonych na ziemi trasach, za pomocą pstryknięć palcem. Pamiętam, że sam nieraz potykałem się o gromadki dzieci pod moim blokiem, które, kucając, pstrykały w swoje kapsle udające zawodników kolarskich, spośród których największym powodzeniem cieszył się Szurkowski i Szozda. Oprócz tego dzieci bawią się w popularne wówczas gry „w państwo" i „w noża". Ja również uprawiałem te gry, choć moje dzieciństwo przypadło na lata 50. i 60.

Akcja opowieści rozpoczyna się, kiedy Flawia, narratorka i główna bohaterka opowieści idzie do pierwszej komunii. W prezencie otrzymała rower-składak, niestety, pojazd był potrzebny tatusiowi do wyjazdów na wieś i w efekcie stał się „rowerem tatusia". Trzeba przyznać, że ojciec tak był zapatrzony w siebie i swoje potrzeby, że czasem wykorzystywał dzieci, np. wysyłając Flawię do odległego sklepu, synowi każąc rąbać drewno, gdy sam poszedł spać. Kiedy mógł wybrać, czy kupić dzieciom gumę do żucia czy serek topiony, to oczywiście wybierał serek. Chociaż nigdy dzieci nie rozpieszczał, nie umniejsza to faktu, że je kochał. One zaś były w niego wpatrzone jak w bóstwo.

Mama bohaterki również okazywała miłość na swoje sposoby, a była kobietą bardzo surowo wychowującą dzieci. Raz, przy ognisku, podczas biesiady z gośćmi zakrapianej alkoholem, na uwagę, że jej córka jest drobniutka, ściągnęła jej dół piżamy, dała klapsa i oświadczyła w obronie dziecka: – Dupsko ma jak trza! Podpici goście rechotali ubawieni, ale dla dziewczynki był to szok i upokorzenie. Takie to jednak były czasy, że nie dbano zbytnio o godność i wrażliwość dzieci. Chociaż przecież państwo Koguczakowie kochali je i dbali o ich potrzeby, trudne warunki życiowe i troska o podstawowe potrzeby materialne sprawiały, że mniej dbano o sferę duchową w wychowaniu potomstwa. Mimo to matka Flawii okazała także wiele hartu ducha, wstępując do Solidarności, i sprzeciwiając się opresyjnemu totalitarnemu

reżimowi komunistycznemu. W efekcie swojej działalności została internowana, co było prawdziwą tragedią, zarówno dla jej męża, jak i czwórki dzieci. Podczas Świąt Bożego Narodzenia odwiedził ich ksiądz biskup:

> Odmówiliśmy „Ojcze nasz” w intencji matki, całej rodziny, wszystkich internowanych i w intencji ojczyzny. Kiedy rozdano po świętym obrazku i goście wyszli, uciekłam wyryczeć się w poduszkę.

Powieść napisana jest bardzo żywo, czyta się ją znakomicie, z niesłabnącym zainteresowaniem. Mnóstwo w niej dialogów, które oddają charakter występujących postaci. Autorka nikogo nie ocenia, nie chwali ani nie krytykuje, przedstawia życie takim, jakim było. Akcja rozgrywa się w miejskim bloku i na wsi, choć opowieści z chaty są znacznie barwniejsze.

Flawia jest narratorką, książka jest również jej quasi pamiętnikiem. To bardzo spostrzegawcza i wrażliwa dziewczynka, nie pozbawiona dziecięcych marzeń i fantazji. Ma niesamowitą pamięć do szczegółu, do dialogu i wydarzeń. Powieść Kokot-Martin to gotowy scenariusz filmu fabularnego, gdzie znajdziemy nie tylko barwne i prawdziwe postacie, ale każdy szczegół ubioru i wyposażenia domu w mieście oraz w „chałupie”. Świetnie opisany jest także pejzaż wiejski, wszystkie

owady i zwierzęta.

Bohaterka, bardzo wrażliwa, boleśnie przeżywa śmierć ulubionego psa o imieniu Sandra, który zdechł na skutek nieszczęśliwego wypadku. Autorka pisze o swoim przyjacielu:

> Kochałam ją, mimo że zawsze wolała ojca, lecz rozumiałam jej preferencje. To on ją ocalił, upalikowananą bez wody i jedzenia na środku czyjegoś podwórza. Prawie zdychała, gdy ojciec odebrał ją właścicielowi za litr gorzałki.
>
> W połowie wyżeł, w połowie kundel, Sandra była najpiękniejszym czarnym psem z lśniącą sierścią, jakiego widziałam. Mądra, nie szczekająca bez potrzeby. Bardzo cierpliwa…

„Potrawka z surojadki” dostarczyła mi wielu wzruszeń, zarówno tych pogodnych i wesołych, jak i smutnych i tragicznych. Jest ona kwintesencją dzieciństwa w solidarnościowym okresie PRL-u. Zawiera mnóstwo obserwacji obyczajowych i jest skarbnicą wiedzy o psychice dziecka. Napisana naprawdę po mistrzowsku, świetnie przemyślana i skomponowana. Przedstawia także historię małżeństwa, które mimo skrajnie różnych charakterów, tworzy kochającą się i funkcjonującą rodzinę.

Mówi się, że dzieciństwo to zaczarowana kraina. I rzeczywiście, widoczne to jest w powieści Sylwii Kokot-Martin. Jej bohaterkę, Flawię, cechuje podziw dla przyrody, świeżość uczuć, miłość do rodziców i rodzeństwa. Współczucie dla cierpiących ludzi i zwierząt. No i nieustający zachwyt nad światem. A także wiara w dobroć i uśmiech losu, chęć życia i poszukiwanie szczęścia oraz wiara w gwiazdora, który jest ważną postacią dzieciństwa Flawii.

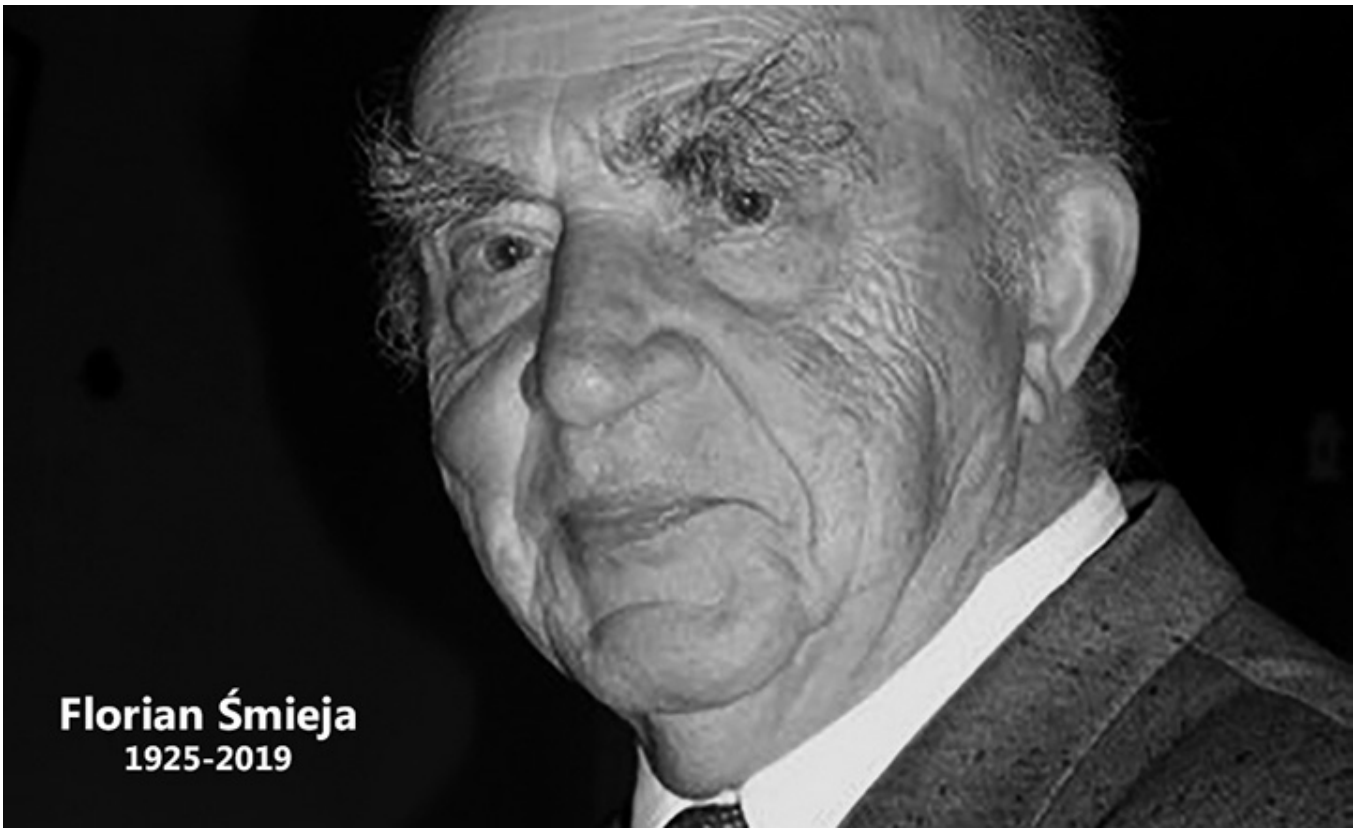
Chociaż powieść jest na wskroś realistyczna, a słabości ludzkie bezlitośnie obnażone przez bystre oko dziecka, zawiera jednak silne tło uczuciowe. Dlatego odkładamy książkę z żalem, że już się skończyła i mamy chęć wrócić do przeszłości, także do własnego dzieciństwa.

_____

Sylwia Kokot-Martin, „Potrawka z surojadki”, Orlando 2018, ss. 373.

http://www.lulu.com/shop/http://www.lulu.com/shop/sylwia-kokot-martin/potrawka-z-surojadki/paperback/product-24079159.html

Odejście profesora Floriana Śmieji (1925-2019)



4 września 2019 r. odszedł prof. Florian Śmieja – nestor polskiego pisarstwa w Kanadzie, poeta, tłumacz, eseista, badacz

literatury hiszpańskiej i hispanoamerykańskiej, uczony związany z wieloma uniwersytetami w Anglii, Kanadzie i Polsce, doktor honoris causa Uniwersytetu we Wrocławiu, wielce zasłużony dla kultury polskiej.

A jeszcze tak niedawno na „Culture Avenue" świętowaliśmy jego 94 urodziny. To mój mentor, redaktor, autor i przyjaciel. Wielka pustka, Nie umiem sobie wyobrazić dnia, bez porannej wiadomości, w której „melduje, że jeszcze żyje". Wysłał mi e-mail tuż przed urodzinami, że pisze po raz ostatni, bo jest lichy. Nie chciałam uwierzyć. Jednak odszedł. Profesor był z pokolenia niezłomnych, pięknych duchem, dbających o wartości. Niepowetowana strata. Ale my… musimy iść tą drogą dalej, wtedy jego praca i to co budował przez całe życie będzie miało sens.

Joanna Sokołowska-Gwizdka

Florian Śmieja

PROCHY

Chciałbym, by moje prochy

powróciły do swoich,

spoczęły na gminnym cmentarzu

wśród braci i rodziców.

Błąkałem się po świecie,

czas już się ustatkować

i ziemi rodzinnej powierzyć ostatki.

Nie będę sechł na amen

w wietrznym pawilonie,

ani stanowił piędzi golfowiska,

bo mnie nie znajdą w Zaduszki,

ci co o zmarłych jeszcze pamiętają,

by przyozdobić barwnymi lampkami.

Pożegnanie Profesora odbędzie się w piątek 6 września 2019 r. w godz. od 19:00 do 21:00 w Turner & Porter – Neweduk-Erin Mills Chapel przy 1981 Dundas Street W. w Mississauga. Różaniec odmówiony zostanie o godz. 20.30. Msza święta w intencji spokoju duszy Zmarłego odbędzie się w sobotę 7 września o godz. 9.30 rano w kościele św. Maksymiliana Kolbe przy 4260 Cawthra Rd. w Mississauga.

Poprzez kontynenty, czyli dokąd sięga Polska. Ameryka Północna

i Południowa.



Jolanta Tambor i Romuald Cudak, Brazylia, Iguacu.

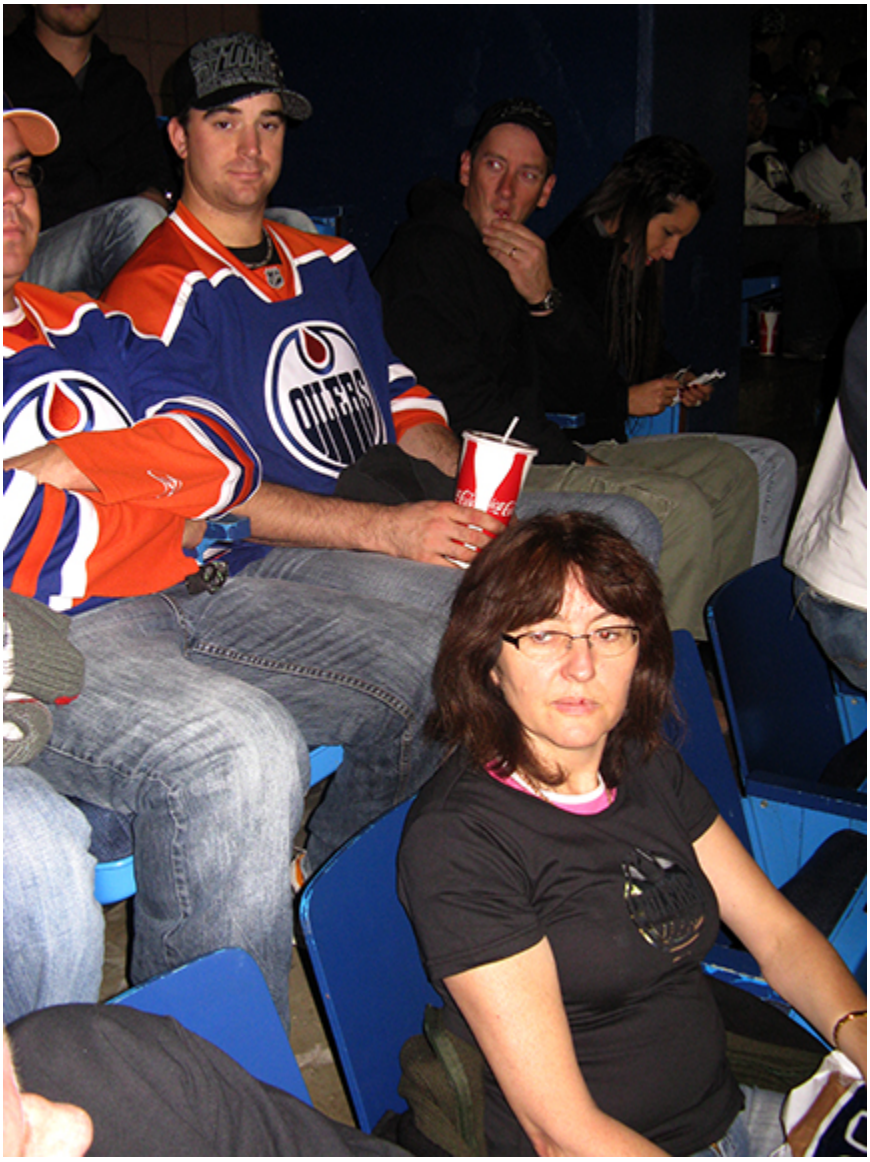
Jolanta Tambor i Agnieszka Tambor *(Katowice)*

Efektem wyboru kolejnej specjalności przez studentów międzynarodowych studiów polskich, była Ameryka Północna. Mamy sporo fascynatów Kanady i USA, więc przedsięwzięcie

będzie co najmniej równie atrakcyjne, jak poznawanie Dalekiego Wschodu. Mamy fachowców od kultur rdzennych, od amerykańskiego filmu, od historii, ciekawostek historyczno-politycznych (jak choćby JFK), od poezji amerykańskiej, od amerykańskiego jazzu. Liczymy też na gości zza oceanu. Swój pobyt jako visiting professor obiecał niezawodny, zawsze chętny do współpracy prof. Wacław Osadnik z University of Alberta, który opowie o literaturze i filmie poświęconych imigracji polskiej, ukraińskiej i niemieckiej w Kanadzie. Dla naszych studentów, którzy rekrutują się w 1/3 z Polaków, w 1/3 Ukraińców, a w 1/3 z osób z innych miejsc świata, to zagadnienia nadzwyczaj ciekawe. Osobistą lub „skypową" rozmowę ze studentami obiecała też Eva Stachniak, kanadyjsko-polska pisarka, która podczas mojego pierwszego pobytu w Kanadzie zdobyła najwyższy kanadyjski laur za debiut powieściowy. Jej debiutancką powieść *Konieczne kłamstwa* przeczytałam w tłumaczeniu polskim i myślę, że powinni ją przeczytać wszyscy, którzy zajmują się kontaktami międzynarodowymi, interkulturowością i chcą łamać zaszłości w ludzkich kontaktach wynikające z trudnej historii.

Ten wybór studencki ogromnie mnie ucieszył, bo przed Dalekim Wschodem, a potem długo równolegle z nim moim odkryciem, moją miłością była Ameryka Północna. Kiedy pierwszy raz leciałam do prof. Osadnika (który jak łatwo się domyślić karierę akademicką rozpoczynał na UŚ) do Edmonton na Tydzień Kultury

Polskiej, myślałam, że to jednorazowa przygoda. Ale… często w życiu pomaga przypadek. UŚ kupił mi wtedy zły bilet powrotny, na szczęście udało się go zamienić, ale nowy zawierał 8-godzinne czekanie w Toronto. Udało mi się uprosić Bożenę Szałastę-Rogowską, koleżankę z UŚ, która wtedy pracowała na UofT oraz szefową torontońskiej polonistyki, by zabrały mnie z lotniska i pokazały cokolwiek w Toronto. Byłam przekonana, że muszę naraz zobaczyć wszystko, bo nigdy więcej nie uda mi się na ten kontynent przylecieć powtórnie. Poznanie prof. Tamary Trojanowskiej wiele zmieniło w moim życiu. Wcześniej nie wyjeżdżałam na dłużej niż 10 dni. Ogłoszony w Toronto konkurs skłonił mnie do wyjazdu na rok jako profesorka wizytująca. I to była największa przygoda mojego zawodowego życia. Uczyło mi się tam świetnie, miasto było przyjazne i jak zawsze odtąd powtarzam „łatwe w obsłudze” i mnóstwo fajnych ludzi: w tym wielcy jak Florian Śmieja i dopiero swą wielkość budujący, jak doktoranci polonistyczni: Ola Ponichtera, Agnieszka Polakowska czy Artur Płaczkowski. Olśniło mnie Ontario, ale rozczarowała Niagara. Po filmie z Marylin Monroe oczekiwałam czegoś innego, nie wiem czego, ale… innego.



W Kanadzie

Agnieszka Tambor

A ja z Niagarą nie miałam takiego problemu, bo wodospad zobaczyłam zimą i… był zamarznięty! Lodowe sople takiej wielkości robią wrażenie. Zresztą Kanada i w ogóle kontynent Ameryki Północnej to dla mnie największa miłość. Z wykształcenia jestem filmoznawcą – ale nie takim od kina przez duże „K”. Szczerze mówiąc od kina artystycznego wolę *Szybkich*

i wściekłych i *Avengersów*, zatem wszystko na TYM kontynencie jest dla mnie filmowe i magiczne. Kanadę po tej pierwszej wizycie nad Niagarą odwiedzałam jeszcze kilkakrotnie. Były to i wykłady gościnne w Edmonton (do dziś mam tam wielu przyjaciół) i udział w Targach Edukacyjnych. W ubiegłym roku zaś poleciałam do USA na warsztaty metodyczne dla nauczycieli i od szkoły do szkoły, przejechałam samochodem całe zachodnie wybrzeże Stanów od Portland (gdzie gościła nas rodowita cieszynianka, a dziś „portlandyjka" Renata Dajnowska, szefująca tamtejszej organizacji skupiającej szkolnictwo polonijne), przez San Francisco, Los Angeles i San Diego aż po Tijuanę i szczerze mówiąc, to dopiero było iście filmowe przeżycie – nie wiem, co wspominam lepiej, kompletnie przypadkowy i zaskakujący postój na ostatniej stacji benzynowej, na której przed wypadkiem zatrzymał się James Dean, czy przesympatyczne spotkanie z LAPD, kiedy to okradziono nam samochód na parkingu (w poszukiwaniu mojej torebki wysłano nawet helikopter!). Ale wszystko to przyćmiewały spotkania z uczniami i ich rodzicami. Dzieci cieszyły się z każdej lekcji z nauczycielkami, które przyjechały do nich prosto z Polski, i kazały przyrzekać, że do nich wrócimy.

Jolanta Tambor

Niezwykle dobrze wspominam półroczny pobyt w Edmonton – bo Toronto mnie ośmieliło, postanowiłam więc skorzystać z zaproszenia prof. W. Osadnika, by go zastąpić podczas jego urlopu naukowego. Miałam tam zajęcia z języka biznesu i język polski dla zaawansowanych. Zwiedziłam kilkakrotnie Góry Skaliste z rodziną i przyjaciółmi. Stamtąd robiłam sobie weekendowe wycieczki do USA: to niezapomniany wypad z mężem, córką oraz byłymi studentami mojej letniej szkoły języka polskiego, Dominikiem i Piotrem Hubaczkami do San Francisco, ale też do Katarzyny Dziwirek, koleżanki, szefowej polonistyki w Seattle, gdzie miałam szansę przeprowadzić zajęcia na prestiżowym University of Washington czy do przyjaciółki z liceum, która mieszkała wtedy w Denver.

Stamtąd robiłam też wypady do Vancouver, gdzie miałam okazję spotykać się ze wspaniałymi ludźmi, którzy wiele dla kultury polskiej i obecności Polski w Kanadzie zrobili: Andrzejem Buszą, Anią Lubicz i Romanem Sabo, z którym razem studiowaliśmy polonistykę na UŚ.

Ameryka Północna ośmieliła mnie w różnych działaniach – tam zdecydowałam się pierwszy raz wypożyczyć samochód i spełnić swoje marzenie, by ruszyć w trasę autostradą międzystanową. Tam kupowałam bilety lotnicze internetowo i latałam, gdzie się tylko dało, żeby wchłonąć jak najwięcej z tego kontynentu, który wydawał się kiedyś poza zasięgiem. Tam zostawiłam kawałek

swojego serca, bo miejsce, w którym człowiek trochę pomieszkał i popracował ciągnie niesłychanie.



W Kanadzie

Jolanta Tambor, Agnieszka Tambor

I wydawało nam się, że na tym zakończyłyśmy polonistyczny podbój międzykontynentalny. Nie myślałyśmy, że uda nam się jeszcze z polskimi lekcjami, z polskimi wykładami, z polską książką dotrzeć do Ameryki Południowej. Bardzo długo bowiem nie było tam akademickiego nauczania polonistycznego. Aż

dzięki usilnym staraniom Polonii brazylijskiej i polskich władz konsularnych powołano polonistykę na Uniwersytecie Federalnym Parany w Kurytybie.

Jolanta Tambor

Szefową polonistyki została prof. Aleksandra Piasecka-Till, katowiczanka od kilkudziesięciu lat zamieszkała w Brazylii. Znalazła zatem nas, swoich ziomków zajmujących się propagowaniem polszczyzny w świecie i zaproponowała współpracę. I znów zbiegi szczęśliwych okoliczności: kilka miesięcy później Rektor UŚ, prof. Wiesław Banyś leciał do Brazylii na konferencję Alfa Puentes jako przedstawiciel KRASP (był wtedy przewodniczącym Konferencji Rektorów Akademickich Szkół Polskich), mógł więc zboczyć z trasy i przed Sao Paulo wylądować w Kurytybie, gdzie uroczyście podpisano umowę o współpracy. Kolejne kilka miesięcy i postanowiliśmy zapisy umowy zacząć wcielać w życie. Polecieliśmy z prof. R. Cudakiem, by przeprowadzić cykle wykładów o języku i literaturze. Oprócz tego prof. A. Piasecka-Till zorganizowała dwie konferencje: jedną inaugurowaną przez R. Cudaka poświęconą Julianowi Tuwimowi, a drugą śląską z otwierającym tekstem J. Tambor. Śląsk to dla Brazylii ważny polski region, bo z Górnego Śląska pochodzi spora część najstarszej brazylijskiej

imigracji. Na konferencjach publiczności było ogromnie dużo. Studenci byli nieprawdopodobni – spędzali z nami także wieczory, zapraszając na tradycyjną caipirinhię do studenckiej knajpki Mafalda, by dalej rozmawiać o poezji i o końcówkach. Towarzyszyli nam w zwiedzaniu Kurytyby – mieszkaliśmy u Rity i Sidneya Kanayama, a dwie spośród naszych studentek – Pedrita Setenareski i Regiane Czervinski zdecydowały się na roczne studia w Polsce. Pokazali nam wszystko – od ogrodu botanicznego i opery po kapibary, które wylegiwały się w parku w środku Kurytyby. Weekendy przeszły nasze oczekiwania – najpierw polecieliśmy do Foz do Iguasu, by zobaczyć wodospady, a potem do Rio de Janeiro, by przenocować na Copacabanie.

Agnieszka Tambor

A potem znalazła nas Janice Thiel z Katolickiego Uniwersytetu Parany (PUCPR) potomkini najdawniejszej polskiej emigracji, w której pamięci pozostało już tylko „dzień dobry pani”, ale na trwałe osadził się w niej sentyment do Polski. Janice, po przeprowadzonej przeze mnie na PUCPR prezentacji dotyczącej UŚ zaproponowała współpracę, która trwała wiele lat. Jedno z moich ciekawszych przeżyć dotyczących wykładów na tym uniwersytecie (na którym, poza naszymi gościnnymi wykładami, które zapełniały kilkusetosobowe sale, nie odbywa się żadne

nauczanie związane z Polską i językiem polskim) to dziewczyna która podeszła po zajęciach i poprosiła mnie o przeczytanie na głos swojego nazwiska. Wiedziała, że ma polskich przodków, jednak nikt w rodzinie nie mówił już po polsku i nazwiska „Czocher” nie był w stanie poprawnie po polsku przeczytać. Okazało się, że ode mnie usłyszała taki sposób jego wymowy pierwszy raz w życiu.



Iguacu, tukan w Zoo.

Jolanta Tambor

Podczas któregoś z kolejnych pobytów w Kurytybie między lekcjami na UFPR i PUCPR byłam u Konsula Generalnego Marka Makowskiego i tak od słowa do słowa padła propozycja, byśmy wspomogli warsztaty metodyczne, które Konsulat regularnie od kilku lat organizował na początku grudnia dla nauczycieli polskiego z pięciu brazylijskich prowincji. To było kilka lat temu i nadal latamy tam prowadzić wykłady. Było w Kurytybie już ponad 20 wykładowców z UŚ, wykształciliśmy wielu nauczycieli. Z Brazylią, z UFPR zrealizowaliśmy kilka projektów tłumaczeniowych. Zaczęło się od mojej fascynacji Paulem Leminskim, brazylijskim poetą polskiego pochodzenia, piszącym po portugalsku, który z formy i obrazu swoich wierszy przypominał Mirona Białoszewskiego, którego ja bardzo lubię, a jest zawodową fascynacją mojego męża, R. Cudaka. Bardzo chcieliśmy jego postać i jego wiersze przybliżyć polskim czytelnikom. Do pomysłu zapalił się Piotr Kilanowski z UFPR i Konrad Szcześniak z UŚ – zaczęli tłumaczyć, zdobyliśmy pieniądze na wydanie miniantologii polsko-portugalskiej jego wierszy i na imprezy promocyjne. Potem projekt w odwrotną stronę, czyli z portugalskimi tłumaczeniami polskiej poezji poświęciliśmy Zbigniewowi Herbertowi. Interpretacjami jego wierszy zachwyciła kurytybską publiczność prof. Danuta Opacka-Walasek, która towarzyszyła mi podczas jednej z brazylijskich wypraw, ona też napisała wstęp do antologii. Ten niewielki projekt zaowocował potem ogromną portugalską antologią Herberta w tłumaczeniu P. Kilanowskiego. Nie ma chyba

większej satysfakcji niż fakt, że udało się brać udział w dziele przeniesienia przez ocean poezji takich twórców.



Biblioteka Publiczna w Kurytybie. Książki Henryka Sienkiewicza.

Agnieszka Tambor

Podczas jednej z podróży postanowiliśmy również zboczyć z drogi i wylądować na dwa dni w Buenos Aires, gdyż udało nam się nawiązać kontakt ze Związkiem Polaków w Argentynie. Myślałyśmy, że idziemy na spotkanie tylko z prezesem, Kazimierzem Warzycą, a okazało się, że zorganizowano spotkanie z kilkunastoma nauczycielami, którzy uczą języka polskiego w Buenos Aires i w jego okolicach. Opowiedziałyśmy o warsztatach brazylijskich i wspólnie z gospodarzami podjęliśmy pomysł zorganizowania takich samych w Argentynie. No i się zaczęło. Warsztaty argentyńskie przyniosły kilka rezultatów, które przeszły chyba oczekiwania wszystkich. Najważniejszym było powstanie na naszych oczach, przy naszym udziale PONA – Polskiej Organizacji Nauczycieli Argentyny, której pierwszą prezeską została jedna z najaktywniejszych nauczycielek i organizatorek szkolnictwa polskiego w Argentynie i uczestniczek naszych warsztatów, Teresa Uzarowicz. Drugim sukcesem jest powstanie pierwszej klasy języka polskiego w Paragwaju – założyła ją jedna z uczestniczek (trzykrotna), która wraz z mężem przeprowadziła się do Paragwaju, a właściwie do niego wróciła i postanowiła języka polskiego uczyć dzieci w swojej miejscowości. W Paragwaju polska imigracja jest rozproszona i bardzo zaniedbana. To najbiedniejszy kraj Ameryki Południowej i Polacy docierają tam niezwykle rzadko.

Jolanta Tambor, Agnieszka Tambor

Dla Uniwersytetu Śląskiego i jego światowych partnerów jednym z priorytetów jest internacjonalizacja realizowana w sferze edukacji i badań naukowych, którym służą treści interkulturowości i wielojęzyczności programów oraz umożliwienie wzajemnych intensywnych kontaktów: studentom studiów na partnerskich zagranicznych uczelniach i stworzenie możliwości kontaktu z wykładowcami z zagranicznych uniwersytetów, wykładowcom możliwość kontaktów naukowych, ale i metodyczno-dydaktycznych, co pozwala usprawniać nieustannie programy nauczania. Każda z zaplanowanych wizyt i każdy z pobytów jest niezwykle cennym doświadczeniem. Istotną rolę ambasadorów uniwersytetów poza ich murami odgrywają absolwenci studiów, staży i kursów. Dobre relacje, wspólne projekty to czynniki, które w istotny sposób oddziałują na popularność wyboru kierunków związanych z nauczaniem języka i kultury krajów partnerskich, czego potwierdzeniem są mierzalne wskaźniki migracji w celach naukowych. Specjalistyczne kształcenie filologiczne umożliwia najlepsze poznanie danej kultury poprzez pełne zanurzenie się w niej, zaś poznanie języka umożliwia ukształtowanie się wszystkich sprawności językowych. Dzięki mobilności wykładowców udaje się utrzymać wysoki poziom nauczania, zainicjować nowe wspólne projekty, a także promować wszystkie elementy językowo-kulturowe w kraju partnerskim, co korzystnie wpływa

na rozwój wzajemnych stosunków naukowych oraz dydaktycznych, jest także zgodne z misją tych uczelni oraz wizją ich rozwoju na lata następne.

Ale najważniejsze są kontakty, znajomości, przyjaźnie, rozmowy. Poznawanie ludzi to fascynujące doświadczenie.

Jolanta Tambor

Panie Florianie, dziękuję! Za to, że Pan jest, że mogłam Pana poznać. Za to, że zechciał Pan ze mną rozmawiać o Śląsku. Za to, że interesuje się Pan tym, co robimy i w Polsce i na świecie. Za to, że skłonił nas Pan do spisania tych myśli, uwag, wspomnień. Za to, że wciąż jest Pan Polakiem i Polska oraz Polacy mają swe trwałe miejsce w Pana sercu.

Poprzez kontynenty, czyli dokąd sięga Polska. Daleki Wschód.

Jolanta Tambor i Agnieszka Tambor *(Katowice)*

Nasza fascynacja promocją Polski, polskości, języka polskiego rozpoczęła się w czasie, gdy mama Jolanta osiągnęła wiek Chrystusowy, a córka Agnieszka miała lat 8 i odtąd tak długo towarzyszyła mamie we wszelkich poczynaniach, aż osiągnąwszy pełnoletność sama wytyczała swoje szlaki.

Może zaczniemy od Azji, Dalekiego Wschodu, a szczególnie Chin, które w tym momencie są podstawowym terenem zainteresowań zawodowych Agnieszki, a swoje polskie trzy grosze nieustannie wkłada tam Jolanta.



Jolanta Tambor w Shenyang. Spacer po pałacu cesarskim.

Jolanta Tambor

Wszystko rozpoczęło się od Pekińskiego Uniwersytetu Języków Obcych (Beijing Foreign Studies University), gdzie znajduje się najstarsza i przez wiele lat jedyna chińska polonistyka. Polonistyka ta budzi podziw w Polsce i na świecie, gdyż kształciła i kształci wspaniałych tłumaczy literatury polskiej, dzięki którym w tak dalekim kraju Polska jest krajem bliskim, bo… Chopin, Penderecki, ale też, bo… Mickiewicz, Iwaszkiewicz (który nawet był w zestawie pytań na chińskiej maturze!), Sienkiewicz, Miłosz

i Szymborska. Warto też dodać, że chińskie studentki często przyznają się do niezwykłej sympatii do piłkarza Lewandowskiego.

Współpracę polonistyczną z Beijing Foreign Studies University rozpoczęła wizyta studyjna wiosną 2004 r. na Uniwersytecie Śląskim delegacji z Pekinu, która odbyła się z okazji 50-lecia polonistyki pekińskiej. Na czele tej delegacji stała wspaniała, mądra i dobra wykładowczyni oraz genialna tłumaczka prof. Yi Lijun, w tamtym czasie szefowa polonistyki. W delegacji wzięli też udział prof. Yuan Hanrong, mąż słynnej profesorki, współtłumacz wielu znakomitych przekładów na chiński dzieł literatury polskiej, Zhao Gang, wtedy prodziekan, dziś profesor, dziekan Wydziału Języków i Kultur Europejskich oraz szef Centrum Studiów Polskich na PUJO. Od tego momentu zaczęła się nasza współpraca, wzajemne podróże, wykłady wszyscy po kolei rozbudzaliśmy w sobie fascynację Dalekim Wschodem. Razem z prof. Romualdem Cudakiem, moim mężem, polecieliśmy na wykłady w okresie Wielkanocy, więc wykładaliśmy w ciągu tygodnia, a w niedzielę zorganizowaliśmy śniadanie wielkanocne dla wszystkich studentów polonistyki i całej kadry polonistycznej – wspólnie malowaliśmy jajka i potem się nimi dzieliliśmy. Od samego początku bardzo aktywnie we współpracy uczestniczyła Szkoła Języka i Kultury Polskiej, której jestem dyrektorką. Studenci chińscy regularnie przyjeżdżają na semestralne lub roczne kursy języka polskiego, na studia polonistyczne i około

polonistyczne na Wydziale Filologicznym oraz na letnią szkołę języka, literatury i kultury polskiej w Cieszynie (to dotąd ponad setka osób). Wielu spośród tych studentów robi kariery, osiąga sukcesy. Spotykamy ich jako pracowników ambasad i konsulatów, ważnych urzędników w chińskich firmach inwestujących w Polsce, tłumaczy, wykładowców chińskich polonistyk, które wyrastają obecnie jak grzyby po deszczu.

W 2011 roku studia doktoranckie pod kierunkiem prof. Romualda Cudaka na UŚ podjęła Marysia – Li Yinan. Ukończyła je z sukcesem w 2015 roku, broniąc rozprawy zatytułowanej *Recepcja literatury polskiej w Chinach. Wybrane zagadnienia*. Dr Li Yinan jest pierwszą i jak dotąd jedyną chińską polonistką, która doktorat napisała i obroniła w Polsce – oczywiście napisała i obroniła po polsku, a jej polszczyzną zachwycała się cała komisja.

Agnieszka Tambor

Li Yinan swój doktorat opublikowała, natychmiast stał się bestsellerem i miałam okazję zorganizować dwie imprezy promocyjne z udziałem autorki: w Centrum Języka i Kultury Polskiej UŚ, którym kieruję w Katowicach i we wrocławskiej Starej Bibliotece pod egidą Instytutu Konfucjusza we Wrocławiu.

Wśród słuchaczy byli Polacy i Chińczycy – chińscy studenci UŚ i Uniwersytetu Wrocławskiego, tłumacze biznesowi, chińscy turyści. To naprawdę budujące, że ludzi interesują takie tematy oraz, że w tak dalekich Chinach przetłumaczono z polskiego setki tysięcy stron i że znajdują one wciąż nowych czytelników.

Jolanta Tambor

Na staże przyjeżdżają do nas naprawdę wybitni studenci chińscy. Była Zhao Weiting – Edyta, świetna tłumaczka *Pieska przydrożnego* Czesława Miłosza, który został bardzo dobrze przyjęty w Chinach. Jest Grażyna – Zhao Zhen, która już przetłumaczyła… *Lektury nadobowiązkowe* Wisławy Szymborskiej i *Ślub* Witolda Gombrowicza, a teraz zajmuje się *Tangiem* Sławomira Mrożka. Trochę czasu spędziłyśmy na rozmowach i konsultacjach, więc mogę stwierdzić, że jej dociekliwość językowa i realioznawcza pozwala w niej widzieć godną następczynię genialnych tłumaczy Yi Lijun (z jej rewelacyjnymi tłumaczeniami Sienkiewicza i Tokarczuk) i Zhao Ganga, wybitnego tłumacza Herberta, który budzi mój nieustanny podziw tłumaczeniami uwielbianego przeze mnie Lema.

Otwarliśmy na międzynarodowych studiach polskich specjalność

„Kultury Dalekiego Wschodu”, która była strzałem w dziesiątkę, pozwoliła wykształcić grupę wyśmienitych znawców podstaw kultury chińskiej, japońskiej i koreańskiej, fascynatów tych kultur, którzy poświęcili im swoje późniejsze prace dyplomowe, opublikowane we fragmentach w piśmie studenckim „W Kręgu Języków i Kultur” (wydawanym przez Katedrę i Szkołę Języka i Kultury Polskiej UŚ) – ciekawe i intrygujące, że wspomnę choćby porównanie smoków chińskich ze smokiem wawelskim, analizę frazeologizmów zawierających nazwy zwierząt w językach polskim i chińskim czy pracę o podobieństwach i różnicach w komunikacji niewerbalnej między Europą a Dalekim Wschodem. Ta fascynacja była możliwa dzięki wykładowcom, którzy potrafili tą kulturą zachwycić, w tym wielu naszych przyjaciół z Chin, Japonii i Korei Południowej, którzy przylatywali, by wykładać dla naszych studentów.

Jolanta Tambor, Agnieszka Tambor

Obie byłyśmy na Dalekim Wschodzie kilkakrotnie. Agnieszka Tambor wykładała o polskim filmie, polskich reżyserach, operatorach, aktorach, ale też uczyła studentów słownictwa filmowego w Pekinie, Seulu i Tokio, Jolanta Tambor prowadziła wykłady i seminaria z językoznawstwa, mówiąc o przemianach i tendencjach w najnowszej polszczyźnie, o odmianach

regionalnych polszczyzny, o fonetyce i fonologii języka polskiego, o metodyce nauczania języka polskiego. Zaskoczeniem absolutnym był fakt, że językoznawcy japońscy sami poprosili o wykład na temat śląszczyzny, bo… przeczytali o moich zainteresowaniach w internecie i uznali, że to będzie dla nich najciekawsze, a nie tematy o polszczyźnie ogólnej. Zdziwiłam się, ale prośbę spełniłam i było to dobre posunięcie, bo dzięki temu poznałam i nawiązałam współpracę z najlepszym japońskim znawcą kaszubszczyzny prof. Motokim Nomachim z Sapporo, z którym kontakty utrzymujemy do dziś.

Obie byłyśmy na warsztatach glottodydaktycznych (dotyczące języka polskiego jako obcego) dla studentów najwyższych roczników polonistyki pekińskiej. Obie prowadziłyśmy tam lekcje pokazowe i brałyśmy udział w omówieniach tych lekcji z lektorami z chińskich polonistyk, którzy wzięli udział w tych warsztatach, pokonując w tym celu czasem 100 km (jak z Tianjinu), ale czasem i ponad 2000 km – tyle dzieli Pekin od Kantonu.

Agnieszka Tambor

Doświadczenie lektora języka polskiego i wykładowcy kultury polskiej jako obcej w Polsce i za granicą pozwoliło mi przychylić

się do zdania, że nadszedł już najwyższy czas, by dominację podręczników ogólnych do języka polskiego bez wyraźnie wskazanego adresata złamać i zacząć wydawać podręczniki skierowane do konkretnych grup językowych. Dla anglojęzycznych, słowiańskojęzycznych, chińskojęzycznych itp. Dlatego wraz z polonistami pekińskimi w Szkole Języka i Kultury Polskiej UŚ opracowaliśmy podręcznik (już wcześniej Barbara Morcinek-Abramczyk ze Szkoły napisała i wydała podręcznik dla japońskojęzycznych *Polski jest prosty*) do języka polskiego dla Chińczyków. Praca nad podręcznikiem okazała się fascynująca. Ważną jego cechą jest równoważna opowieść o realiach polskich i chińskich. Wyszłyśmy z założenia, że zagraniczny student, który uczy się polskiego, kiedy przyjedzie do Polski, będzie przez Polaków pytany o swoje rodzime miejsca: Chińczyk o Pekin, Zakazane Miasto, Świątynię Nieba, chiński mur, chińskie potrawy jedzone pałeczkami, Kanadyjczyk o Toronto i Vancouver, o piękno Gór Skalistych, o mecze hokejowe i NBA, Francuz o Pola Marsowe w Paryżu, Saint Tropez i Lazurowe Wybrzeże. Oczywiście, polskie realia też są uczącemu się potrzebne, jeśli ma się swobodnie poruszać po Polsce, wiedzieć, co ogląda, co je. Chcemy, żeby rozmowy Chińczyków uczących się polskiego i Polaków od samego początku mogły być ciekawe, by mogły dotyczyć otaczającego ich świata, bo umiejętność prowadzenia takiej rozmowy, rozumienia pytań i udzielania sensownych odpowiedzi, rozumianych przez pytającego najlepiej zmotywuje do dalszej nauki. Dlatego w równej mierze nasycamy

książkę realiami obu krajów – najlepszą motywacją do nauki jest możliwość opowiadania o swoim świecie.



Shenyang, otwarcie polskiego lektoratu.

Jolanta Tambor

Dla nas, akademików, wykładowców, badaczy, naukowców ogromnie istotna jest współpraca naukowa – wzajemny udział w konferencjach, wspólne publikacje (m.in. o kulturze, literaturze, języku chińskim). Nasza współpraca naukowa rozwijała się też od początku m.in. dzięki konferencjom. Silna pekińska reprezentacja uczestniczyła od pierwszego etapu cyklu

konferencji „Literatura polska w świecie” organizowanej przez Romualda Cudaka – na III konferencji z cyklu, która odbyła się w Cieszynie, prof. Yi Lijun opowiadała m.in. o swoim tłumaczeniu *III cz. Dziadów* Adama Mickiewicza, wykonywanym na wiejskim zesłaniu podczas rewolucji kulturalnej, które ukazało się drukiem w 1976 r. Wszyscy uznaliśmy, iż ten ważny wolnościowy utwór polskiego wieszcza i jego znakomita tłumaczka, polonistka Yi Lijun zakończyli rewolucję kulturalną i otworzyli nowy rozdział w historii chińskiej cywilizacji.

Ze strony dalekowschodniej ważnymi konferencjami dla nas wszystkich: i Polaków, i przyjaciół z Azji były kolejne konferencje z cyklu „Spotkania Polonistyk Trzech Krajów”. Odbywają się co dwa lata w siedzibie jednej z polonistyk dalekowschodnich: Seulu, Pekinie, Kantonie, Tokio. Bywamy na prawie wszystkich, to niezwykła okazja do zwiedzania i oglądania kolejnych dalekowschodnich wspaniałości, do kosztowania kolejnych potraw, odkrywania różnic między gotowanymi, smażonymi i przyprawionymi daniami chińskimi i japońską surowizną, do spojrzenia na polską literaturę oczami naszych przyjaciół z Azji, ale przede wszystkim do spotkań z nimi, długich wieczornych rozmów przy chińskim winie Great Wall (sic!), koreańskim soju czy japońskiej sake.

Jolanta Tambor, Agnieszka Tambor

Drugą uczelnią chińską, z którą łączy nas wiele wspólnych projektów jest Uniwersytet Północnowschodni (Northeastern University) w Shenyangu. Bliska i intensywna współpraca z Uniwersytetem Północnowschodnim w Shenyangu rozpoczęła się od umowy o współpracy międzyregionalnej województwa śląskiego z prowincją Liaoning, podpisanej w 2012 roku (warto wspomnieć, że już w 2004 roku podpisano umowę pomiędzy Miastem Shenyang, stolicą prowincji Liaoning oraz Miastem Katowice, stolicą województwa śląskiego w sprawie ustanowienia współpracy miast bliźniaczych). Liaonig i województwo śląskie mają wiele wspólnego: są silnie przemysłowe, mają silną tożsamość, wiele terenów zielonych, mnóstwo dobrych uczelni – dzieli je wielkość i zaludnienie – w prowincji zmieściłoby się ok. 11 województw śląskich, a ludność Liaong jest o kilka milionów większa niż ludność Polski.

Jolanta Tambor

W czasie jednej z pierwszych wizyt władz Liaoning w Katowicach – m.in. po moim nieustannym mówieniu o wadze nauki języka polskiego – padły zapewnienia o utworzeniu lektoratu języka polskiego w Shenyangu, która zmaterializowała się już w 2013 r.,

kiedy lektorat został uroczyście zainaugurowany z udziałem Ambasadora RP w Chinach Tadeusza Chomickiego, władz województwa śląskiego oraz przedstawicieli UŚ. W trzy lata później (w czerwcu 2015 r.) podczas wizyty delegacji z UŚ z władzami uniwersytetu (prorektorem ds. międzynarodowych, prof. Mirosławem Nakoniecznym i pełnomocnik rektora ds. studentów zagranicznych, prof. J. Tambor) i dziekanami nastąpiło otwarcie Centrum Studiów Polskich, co uważam za jeden ze swoich największych sukcesów. To moje zawodowe dziecko, które rozwija się szybko. Jedną z najważniejszych inicjatyw dydaktycznych obu uniwersytetów jest procedura wspólnego dyplomu – studenci rusycystyki i anglistyki połowę studiów robią w Chinach, a połowę w Polsce, broniąc rozpraw przed wspólną komisją i otrzymują dyplomy obu uczelni równocześnie. 27 czerwca 2019 roku nastąpił historyczny moment, pierwsza obrona pierwszej absolwentki kierunku – Junjun Wang. Obrona odbyła się niezwykle uroczyście, przed wieloosobową komisją, w której miałam zaszczyt i przyjemność uczestniczyć, a przygotowanie studentki napawało dumą. Zdawała po polsku, po rosyjsku i po chińsku. Powstanie wspólnych kierunków studiów z podwójnym dyplomem pozwala tworzyć nową grupę znawców języka polskiego, chińskiego, angielskiego i rosyjskiego, mogących podjąć tłumaczenia w tych językach w dziedzinach gospodarczo-biznesowych. Jest to specjalność tłumaczeniowa bardzo poszukiwana na rynku pracy, stworzy więc możliwość łatwiejszego poszukiwania pracy po

studiach. A trilateralny program językowo-kulturowy ze znajomością trzech języków (PL-CN-EN lub PL-CN-RU) w wersji specjalistycznej da absolwentom wyjątkowo poszukiwane kompetencje. Rozpiera mnie prawdziwa duma, że miałam swój udział w tworzeniu tej nowej perspektywy edukacyjnej.



Agnieszka Tambor – Pekin, w Zakazanym Mieście.

Agnieszka Tambor

W Shenyangu odbywa się również wiele wspólnych przedsięwzięć promocyjnych, naukowych i kulturalnych. Wśród nich np. Tydzień Kultury Polskiej, który miałam okazję współtworzyć. W ramach Tygodnia Kultury Polskiej odbywają się: lekcje pokazowe, seminaria z filmu polskiego, otwarte wykłady o kulturze polskiej z udziałem wykładowców i studentów z UŚ przejeżdżających do NEU w ramach mobilności, to wydarzenie otwarte, wieloaspektowe, promujące kulturę polską w różnych jej przejawach – muzyka, film, język reklamy, literatura, muzyka, kulinaria i inne. Ogromną popularnością w czasie imprezy cieszą się polskie stanowiska kulinarne, na których odwiedzający kosztują przysmaki, ale i przygotowują i gotują sami polskie potrawy: kopytka i kluski śląskie, wodzionkę, żur, przygotowują sałatkę jarzynową i wigilijne makówki. Najwięcej tam potraw charakterystycznych dla Śląska, bo swój region chcemy promować najsilniej (ważne to także ze względu na współpracę województwa i prowincji). Wszystkie stoiska i prezentacje są otwarte, przeznaczone są dla studentów, ale także dla uczniów szkół średnich w Shenyangu. Ale Tydzień to nie tylko zabawa – zawiera wiele wykładów po angielsku (wykładów otwartych), by mogli się o polskiej kulturze, historii i współczesności dowiedzieć także ci, którzy polskiego jeszcze się nie uczą. Najczęściej jestem proszona o wykłady o polskim filmie, to w końcu moja specjalność, ale mówię też o ciekawostkach w języku polskim czy popkulturze.

Ważnym wydarzeniem, które organizowałam, były imprezy towarzyszące podczas Konferencji Młodych COY14 (Conference of Youth) towarzyszącej światowemu szczytowi klimatycznemu, Konferencji Narodów Zjednoczonych w Sprawie Zmian Klimatu COP24 w Katowicach w grudniu 2018 r. – studenci z całego świata: z Chin, Kanady, Maroka, Papui-Nowej Gwinei, Indonezji, Konga, Brazylii, całej Europy, którzy na co dzień studiują w Katowicach uczestniczyli pod moim kierunkiem w przygotowaniu dla przyjezdnych z całego świata Andrzejek, św. Mikołaja, prezentacji o Katowicach i potem urządzili dla nich wspólną zabawę.

Jolanta Tambor

Specjalnym wydarzeniem, które pokazało nam nieco inne Chiny był udział wykładowców Uniwersytetu Śląskiego w delegacji województwa śląskiego na Światowej Wystawie EXPO w Szanghaju w maju 2010 r. W czasie EXPO odbyły się spotkania ze zwiedzającymi pawilon polski gośćmi z Chin i pokazowe lekcje polskiego w sali kinowej polskiego pawilonu. Zaplanowano pierwotnie dwie takie lekcje, ale niekończąca się kolejka spowodowała, że zrobiliśmy ich osiem. Chińczycy byli tak bardzo zainteresowani poznawaniem podstawowych słów po polsku, że było to dla nas absolutnym szokiem. Goście EXPO chętnie uczyli

się przedstawiać po polsku, nazywać podstawowe przedmioty, witać się i żegnać. Wokół pawilonu słychać było potem częste „jak się masz” i „miło mi”, gdy odwiedzający tłumnie ruszyli na uświetniający Polski Dzień EXPO występ Zespołu Pieśni i Tańca „Śląsk”.

Ten pobyt odkrył przed nami uroki nieznanego dotąd regionu Chin. Udało nam się zwiedzić Szanghaj, ale także obejrzeć przepiękne ogrody w Hangzhou. W Szanghaju przeżyliśmy swoją kulinarną przygodę, którą wspominamy do dziś. Wracając późnym wieczorem pierwszego dnia z terenów targowych do hotelu, postanowiliśmy coś zjeść. Na naszej trasie znaleźliśmy po dwugodzinnej (pieszej!!!) wędrówce jedną jedyną restaurację, w której jak na złość nikt nie mówił po angielsku i nie było menu z obrazkami. Zatem ruszyłam na obchód restauracji, oglądając, co jedzą inni, wzięłam za rękaw kelnera i pokazywałam palcem na kolejnych stołach, co chcemy zamówić. Potem kelner wziął mnie za ręką i zaprowadził do balii z rybami, bym wybrała wśród tych pływających odpowiednią i wręczył mi narzędzie do jej uśmiercenia. Rybę wybrałam, własnoręcznego zabicia ryby kategorycznie odmówiłam. Posiłek był prześwietny, ryba rozpływała się w ustach, tylko piwo do niej było ciepłe. Wtedy jeszcze zimne piwo było w Chinach rzadkością. Potem po EXPO i przede wszystkim po Olimpiadzie Chińczycy zrezygnowali z bezwzględnego hołdowania tradycyjnej chińskiej zasadzie kulinarnej, że nie pije się zimnych napojów do ciepłego jedzenia.

Masa zagranicznych turystów wymusiła schładzanie napojów w restauracjach.



Z chińskimi studentami.

Agnieszka Tambor

W Polsce zaczynaliśmy przeżywać szok w drugą stronę, szok związany z zainteresowaniem Chinami. Coraz większe jest zapotrzebowanie na pracowników, którzy posługują się językiem chińskim. Coraz więcej osób dostrzega bowiem, jakie korzyści

płyną ze znajomości tego języka. Pojawiło się ogromne zapotrzebowanie na naukę języka chińskiego i mnóstwo osób decyduje się na jej rozpoczęcie. Naukę chińskiego oferują szkoły językowe, lektoraty organizują kolejne uczelnie wyższe, powstają klasy z językiem chińskim w szkołach średnich, a potrzeby takie zgłaszają również szkoły podstawowe. Zainteresowanie chińskim to też wynik imprez promocyjnych organizowanych przez Uniwersytet Śląski w środowisku pozauniwersyteckim, w tym w dużej mierze w szkołach patronackich – liceach i szkołach podstawowych. Dlatego przystąpiliśmy do działań, by to zapotrzebowanie zaspokoić. Władze UŚ okazały się przychylne pomysłowi i już w 2017 powstało Centrum Języka i Kultury Chińskiej, którego zostałam szefową. Zaczynałam od promocji języka polskiego wśród obcokrajowców, teraz poświęcam się także promowaniu kultury chińskiej wśród Polaków. Pomagają mi w tym dziesiątki przyjaźni, które zawarłam wcześniej i zawieram nadal z chińskimi polonistami.

Istnieje ogromne zainteresowanie i zapotrzebowanie wśród studentów wszystkich uczelni śląskich, ale także wśród zwykłych mieszkańców Śląska na poznawanie kultury chińskiej: malarstwa, sztuki, literatury, kaligrafii, filmu, opery – dowodem na to są niebywałe sukcesy chińskich prezentacji w ramach organizowanych przez nas Dni Kultur i Języków skierowanych do wszystkich zainteresowanych. Wspaniałą atrakcją okazała się wymiana zespołów tradycyjnej sztuki wokalnej i tanecznej – m.in.

w ramach corocznego Międzynarodowego Studenckiego Festiwalu Folklorystycznego w Katowicach występowały akademickie zespoły chińskie, a w obchodach Chińskiego Nowego Roku w Pekinie gościem był Studencki Zespół Pieśni i Tańca „Katowice" z UŚ.

W 2018 roku udało nam się zorganizować międzynarodowe studencko-doktoranckie seminarium naukowe *Bliski Daleki Wschód*, na które przyjechali chińscy stypendyści, odbywający swoje staże w Katowicach, Krakowie i w Łodzi, swoje wystąpienia prezentowali dalekowschodni doktoranci Uniwersytetu Śląskiego (z Chin i Korei Płd.), a także polscy studenci Uniwersytetu Śląskiego oraz Śląskiego Uniwersytetu Medycznego.

Wiosną 2018 r. Centrum zorganizowało projekcje Chińskiego Klubu Filmowego pod wspólnym tytułem „China in Kato" we współpracy z Instytucją Filmową Silesia-Film, Światowym Instytutem Sztuki w Szanghaju oraz Wydziałem Kultury Ambasady RP w Pekinie (Instytut Polski w Pekinie). W czasie festiwalu pokazano 4 filmy produkcji chińskiej. Wydarzenia filmowe z racji moich zainteresowań lubię organizować szczególnie. W tym samym roku w maju miała miejsce VIII edycja Festiwalu Filmowego *Made in Poland. Made in Asia* – organizowanego dla polskich i cudzoziemskich studentów UŚ przez polskich i cudzoziemskich studentów.

A w najbliższym roku akademickim studentów czeka sporo atrakcji filmowych zza oceanu. Festiwal studencki *Made in Poland* w drugiej części skonfrontujemy z *Made in Hollywood*.

Dalszy ciąg ukaże się w piątek, 6 września 2019 r.

Podróż na Majorkę



Klasztor kartuzów w Valldemosie na Majorce.

Katarzyna Szrodt *(Montreal)*

Lato rozmarzyło mnie i natchnęło, by sięgnąć po listy George Sand z okresu jej związku z Fryderykiem Chopinem, kiedy to powstały najważniejsze kompozycje geniusza fortepianu. Słuchając jego nokturnów i ballad powędrowałam z pisarką i kompozytorem na Majorkę, która stała się symbolem podróży romantycznej, przypomniałam zawiłe losy ich poznania.

Latem 1836 roku Fryderyk Chopin przyjął zaproszenie od dobrze mu znanego Franciszka Liszta, na wspólne spędzenie lata w Szwajcarii. Do muzyków dołączyła przyjaciółka i wielbicielka Liszta – George Sand.

George Sand to pseudonim artystyczny Aurory Dupin, pisarki,

kobiety ekscentrycznej, niezależnej i wyzwolonej. Męski pseudonim, zwyczaj ubierania się w męskie garnitury, palenie cygar, sława poczytnej pisarki i liczne romanse – wszystko to charakteryzowało tę wyjątkową kobietę. Wydawało się, że delikatny, elegancki i konwencjonalny Chopin i ekscentryczna George Sand – są wykluczającymi się światami. Grupa artystów zaproszonych przez Liszta wędrowała po Szwajcarii i przypominała bardziej cygański obóz niż cenionych artystów. W jednym z hoteli Liszt wpisał się do księgi gości:

> Zawód – muzyk-filozof, Przybył – z Niepewności, Udaje się – do Prawdy.

Chopin raczej z boku obserwował swoich ekstrawaganckich przyjaciół, ale zaciekawiła go pisarka o czarnych oczach sfinksa. Po powrocie do Paryża towarzystwo nadal utrzymywało ze sobą kontakty spotykając się w salonie literacko-muzycznym przyjaciółki Liszta, Marii d'Agoult, w którym grali Liszt, Chopin, Berlioz, a utwory swoje czytali Heinrich Heine, Adam Mickiewicz, George Sand. W marcu 1837 roku George Sand napisała do Marii d'Agoult, ze swojej rezydencji w Nohant:

> Powiedz Mickiewiczowi, że moje pióro i mój dom są do jego dyspozycji, co poczytuję sobie za szczęście. Powiedz

> Chopinowi, że go otaczam czcią bałwochwalczą, wszystkim Twoim ukochanym, że ich kocham i że będą mile widziani, jeśli ich sprowadzisz.
>
> Chopin jest niezdecydowany – odpisała Maria d'Agoult- u niego tylko kaszel jest niezawodny.

Niespodziewanie, zamiast przyjąć zaproszenie do Nohant, Chopin zdecydował się na wyjazd do Londynu.

> Ale Angielki, ale konie, ale pałace, ale powozy, ale bogactwo, ale przepych, ale drzewa, ale wszystko, zacząwszy od mydła, a skończywszy na brzytwach, wszystko nadzwyczajne – pisał Chopin z Londynu do przyjaciół.

Po powrocie do Paryża artysta pogrążył się w melancholii, a angielski klimat pogorszył jego zdrowie. Z Polski otrzymał odmowę prośby o rękę Marii Wodzińskiej. Dla zamożnej szlachty Chopin nie był dobrą partią. Aby ukoić żal i podreperować finanse powrócił do komponowania i koncertowania. Po koncercie danym 25 marca 1838 roku w Rouen „Gazette Musicale" pisała:

> Chopin dał wielki koncert wobec pięciuset słuchaczy. Wszyscy byli przeniknięci, poruszeni, upojeni. Dalejże, Chopinie. Dalej! Niech Cię ten triumf zachęci! Nie bądź egoistą, udzielaj swego pięknego talentu wszystkim.

Po ponad rocznym niewidzeniu się, drogi George Sand i Chopina przecięły się znów wiosną 1838 roku, w salonie hrabiny Marliani w Paryżu. Zachęcony przytulną atmosferą salonu Chopin dużo tam grywał.

> Był ciepły wieczór i zapach ogrodu wdzierał się przez okna weneckie do jadalni. Chopin improwizował przez długie godziny w półmroku. Wrażenie, jakie wywarła na mnie ta krucha istota, zmieszało mnie i zbiło z tropu – napisała George Sand.

Po tygodniu pisarka wracała do swojej rezydencji w Nohant zakłopotana i niespokojna. Napisała długi list do Grzymały – wspólnego przyjaciela jej i Chopina, wyznając, że zakochała się w Chopinie:

> Trwam w upojeniu. Ani jednej chmurki na tym czystym niebie, najmniejszego ziarnka piasku w tym jeziorze.

> Zaczynam wierzyć, że istnieją anioły przebrane w mężczyzn.

Odrzuciwszy w połowie napisaną powieść, zaczęła muzyczno-filozoficzny dramat „Siedem strun liry”, w którym Duch Liry, symbolizujący Chopina, wykrzykuje:

> Słuchaj głosu, który opiewa miłość, a nie głosu, który ją tłumaczy.

Poprzedni kochanek George Sand, Mallefille, krążył rozszalały po Paryżu grożąc Chopinowi i George Sand. Pewnej nocy udał się do mieszkania Chopina i udusiłby artystę, gdyby nie rozdzielił ich Grzymała. W tej sytuacji wyjazd z Paryża stał się konieczny.



Muzeum Fryderyka Chopina i George Sand na Majorce.

Wybór padł na Majorkę. Chopin pragnąc być za wszelką cenę z ukochaną kobietą, pożyczył pieniądze, wziął zaliczkę na prawie skończone preludia i załatwił wysyłkę fortepianu. W październiku 1838 roku Chopin wyruszył śladami George Sand, która wcześniej wyjechała z córką i synem.

„Świeży jak róża i różowy jak rzodkiewka, zdrów, po czterech nocach spędzonych bohatersko w karetce pocztowej", jak napisała w liście Sand, Chopin wylądował na Majorce. Mieszkańcy Majorki byli zaskoczeni dziwnymi osobami – kobietą ubraną jak mężczyzna, dwoma mężczyznami o długich włosach i dziewczynką zachowującą jak chłopak. Nikt z nich nie bywał w kościele, byli podejrzani moralnie, a na dodatek miało się wkrótce okazać, że jeden z przybyszy jest chory na gruźlicę. Na

razie Chopin był zachwycony:

> Jestem w Palmie. Niebo jak turkus, morze jak lazur, góry jak szmaragd, powietrze jak w niebie. W dzień słońce, w nocy gitary i śpiewy po całych godzinach. Balkony ogromne z winogronami nad głową – słowem, przecudne życie.

Niestety, nastąpiło załamanie pogody, rozpoczął się sezon deszczowy, co wpłynęło na zdrowie Chopina. Wezwani lekarze orzekli, że ma gruźlicę i zgłosili ten fakt na policję. Zgodnie z prawem hiszpańskim, musieli zapłacić za odmalowanie domu i spalone meble. Przenieśli się więc do klasztoru kartuzów w Valldemosie, który wydawał się im najbardziej romantycznym miejscem na świecie.

Jeśli tylko choroba pozwalała, Chopin pracował nad preludiami w swojej celi klasztornej z widokiem na palmy, cyprysy, pomarańcze. Na George Sand spoczywał ciężar opieki nad Chopinem, organizacja domowych zajęć, dokształcanie dzieci i codzienne wywiązywanie się ze zobowiązań wobec wydawcy nowej powieści. Miejscowi ludzie nie darzyli przybyszów sympatią. Plotkowali, że George Sand śpi w ciągu dnia, a pisze nocą paląc cygara i pijąc ogromne ilości kawy. Powoli narastał coraz większy antagonizm. Wieśniacy żądali coraz większych pieniędzy za żywność. Nawet lekarze wzywani do Chopina żądali

więcej niż najlepsi specjaliści w Paryżu. Wraz z początkiem 1839 roku przyszła chwilowa odmiana. Nadejście pianina zbiegło się z pojawieniem wiosny i poprawą stanu zdrowia Chopina. Artysta zabrał się do pracy – wykończył cztery preludia, napisał dwa nowe polonezy, balladę f-dur op.38. Jednak w lutym nagle zapadła decyzja powrotu:

> Jeszcze miesiąc, a umarlibyśmy w Hiszpanii i Chopin i ja, on z melancholii i wstrętu, ja z gniewu i oburzenia. Zranili mnie w najczulsze miejsce, nigdy im tego nie wybaczę, i jeśli będę o nich pisać, to żółcią – tak wspominała Majorkę George Sand odnosząc się z pogardą do jej niegościnnych mieszkańców.

To dopiero przyszłe pokolenia wyprawę Sand i Chopina na Majorkę zinterpretują jako romantyczną przygodę kochanków.

Poezja wojenna



Tadeusz Borowski, fot. wikipedia

Florian Śmieja *(Mississauga, Kanada)*

Wśród zbiorków poezji przechowuję “Imiona nurtu” pierwszy bodaj druk wznowionej po wojnie Oficyny Warszawskiej w Monachium w 1945 roku z kolofonem podpisanym przez autora wierszy, Tadeusza Borowskiego, i grafika Anatola Girsa. Uwolnieni z obozu w Dachau przez wojska 7 Armii Amerykańskiej chcieli zademonstrować hart ducha, który nie dał się złamać i zwyciężył w nieludzkich warunkach.

W ostatnim w tomie wierszu Tadeusz Borowski na kilka lat

przed samobójstwem po powrocie do Polski, duma o przemijaniu wszystkiego:

> Ja wiem, że w wiecznym kole przemian
>
> zapadnie wszystko jakby w morze,
>
> że minie czas i minie ziemia,
>
> i to com kochał i co tworzył.
>
> Próżnobym, pełem wielkich tęsknot
>
> jak ślad na piasku wieczność tropił,
>
> bo ludzki trud i ludzkie piękno
>
> jest jak na wiatr rzucony popiół.
>
> Więc dobrze okruch szczęścia dostać,

umiejąc fałsz od prawdy dzielić.

I życie szczere mieć i proste

jak uścisk dłoni przyjaciela.